

ZMĘCZONY

Nie byłem zmęczony w dosłownym tego słowa znaczeniu, bo niczego przecież nie dokonałem. Ludzie jednakże mówią: „Po zawodach wyglądał na całkiem zmęczonego”, albo: „Bardzo go zmęczył los, życie”. Nie, nie myślę teraz o negatywnym znaczeniu tego słowa, lecz o pozytywnym: kiedy ktoś ciebie zmęczy zmuszając do wysiłku, byś się czegoś nauczył, czy lepiej się rozwinął. Do dziś jeszcze wieśniacy zaprzęgają młodego konia ze starym. W taki właśnie sposób święty Paweł zmusił młodego Tymoteusza do wysiłku. Tymoteusz bowiem cieszył się dobrą opinią nie tylko w jednej, ale w dwóch społecznościach. Jest o nim napisane: „Bracia z Listry i Ikonium wystawili mu dobre świadectwo”. To miło, gdy człowiek zostanie zmęczony przez braci, wtedy wcale nie wygląda na zmęczonego czy wyczerpanego, wręcz przeciwnie, zdolny jest do dalszych, rozleglejszych, większych i samodzielnych zadań. Młody człowiek sam chciałby zaraz cały świat pochwytać i nawrócić. Jeśli jednak, mimo wszelkiej gorliwości i większego wkładu nie dochodzi do żadnego przebudzenia, lecz przeciwnie — do jeszcze większego zatwardzenia ludzkich serc, to człowiek popada wtedy w inną skrajność i chciałby ich wszystkich widzieć potępionymi, albo też cierpi na rozbicie wiary i opuszcza pole walki. A jest ono przecież polem pracy wskazanym i danym przez Boga. Istnieje ludowe powiedzenie, że młody koń zabiega się na śmierć lub skacze przez przeszkody, których nie może pokonać i mimo swej młodzieńczej gibkości będzie leżeć z połamanymi nogami. Chociaż żadne słowo z kazań Samuela nie upadło na ziemię, to przeżył on przebudzenie swych słuchaczy, czyli narodu izraelskiego, dopiero po 20 latach. W ciągu tych 20 lat długiego oczekiwania nie rezygnował ze swych trudów.

Szkoła Biblijna, którą ukończyłem w Gdańsku była cudowna. Obfitowała w błogosławieństwa, którymi jeszcze dziś się żywię. Ale po tej szkole nie stałem się jeszcze gotowym kaznodzieją. Teraz też jeszcze nim nie jestem. Trzeba wzrastać i być przemienianym przez Boga, ku Bogu. Jak długo? Aż przyjdzie Jezus. Mój nauczyciel jazdy powiedział mi po zdanym egzaminie:

— Panie Krüger, wiem, że jest pan kaznodzieją. Wiem, że wybiera się pan do swej pracy, bo przeżywałem to z panem podczas każdej naszej wspólnej jazdy. Zauważyłem, że pan nie strzela słowami, lecz zastanawia się przy odpowiedziach. I myślę, że w chwilach tego zastanawiania się czerpie pan radę i wskazówki od swego Zlecniodawcy, czyli Boga. Pan wie, że mimo długiego doświadczenia nie jest pan jeszcze gotów jako kaznodzieja, lecz zależy to od Boga. Dam panu pewną radę. Jeśli przejedzie pan bez wypadku 30 tys. km, to nie należy mówić: „Teraz jestem prawdziwym kierowcą”, bo wówczas uderzy pan w najbliższe drzewo. Proszę być zawsze czujny i ciągle starać się, by działać coraz lepiej.

Moim nauczycielem jazdy był wyższy oficer z dużym doświadczeniem i wiedział, co mówi.

Chociaż ze wszystkiego, prócz muzyki i śpiewu, dostałem na koniec oceny bardzo dobre, teraz dopiero zaczęła się właściwa praca. Czy mam jeszcze sięgać wstecz? W ostatnich tygodniach kilku z nas poświęciło się szczególnie modlitwie błagalnej, z uwagi na nadchodzące obowiązki. Niekiedy ogarniał mnie lęk. Jak zdołam sam poprowadzić nabożeństwo? Czy potrafię w jakiejś wiosce zainicjować zgromadzenie, jak będę w stanie już przebudzonym mówić o Bożym wiecznym zbawieniu? Czy będę pamiętać wtedy o pouczeniach, jakie tutaj otrzymujemy? Modliliśmy się teraz, wołaliśmy do Pana Boga, sławiliśmy i wielbiliśmy Go. Kiedy indziej znów martwiłem się o przyszłą pracę i otrzymałem w sercu słowo, które po dziś dzień mnie nie opuściło i nie opuści; to było słowo obietnicy, jaką Jezus dał swym uczniom przed ukrzyżowaniem: „*Lecz gdy przyjdzie On, Duch Prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę...*” (Ewangelia św. Jana 16, 13).

Już w macierzystym zborze wzięli mnie starsi bracia, bym składał świadectwo w nowo odwiedzanych przez nas okolicach. Przed swym odjazdem gięli kolana i modlili się o moc i prowadzenie. Nieraz się dziwiłem, że tacy doświadczeni bracia modlą się o moc. Sądziłem, że mają już wszystko. O ileż bardziej ja potrzebowałem teraz siły i prowadzenia! To mnie rzuciło na kolana. A kiedy wiedziałem, że bracia chcą mnie ponownie wziąć ze sobą, już zawczasu modliłem się i pościłem. Tego jednak nauczyłem się dzięki obcowaniu z braćmi we wspólnocie. Owe godziny były błogosławione. Oczywiście, często świadectwo mi umykało, często przerywałem zbyt wcześnie, często mówiłem coś, co nie pasowało do tematu. Gdy potem jechałem do domu zawiedziony, bracia starali się mnie pocieszyć, pouczyć i przygotować do czekających zadań.

I również teraz powinienem był uczyć się, uczyć poprzez zmęczenie. Nie przeżywać tylko w celu pokutowania, lecz aby być podbudowany. Po jakimś czasie wziął mnie ze sobą brat Winiarski, jakby na siedzenie obok siebie. Wiele miałem się wówczas nauczyć. Zawsze jednak wracała główna sprawa, aby być wobec Boga w porządku; aby mógł mi przez swego Ducha przekazać właściwe słowo, czy to w części uwielbiającej przed modlitwą, czy też po modlitwie. Pieśń pasowała do słowa, słowo do pieśni — wspaniała harmonia Ducha. Wzmacniało mnie to w wierze. Ale bywało też, że nie otrzymałem żadnego słowa do poprowadzenia części uwielbiającej. Brat Winiarski nie przynaglał mnie, lecz wziął to z ręki Bożej, oczekując, że właśnie jakiś brat spośród słuchaczy otrzyma słowo od Pana. I tak też się stało. Jakże wielbiliśmy wtedy łaskawego Ojca!

Po jakimś czasie nauczyłem się również dostrzegać różnicę między słowem odnoszącym się do mnie osobiście a innym, które było przeznaczone dla wszystkich zgromadzonych. Pan Bóg posługiwał się w tym celu po mistrzowsku bratem Arturem Bergholzem. On to wziął mnie w podróż do Rosjan. Wczesnym rankiem przyszło do mnie słowo, słowo wspaniałe podnoszące na duchu. Pomyślałem wtedy, że może być ono odpowiednie na nabożeństwo wieczorne. Po drodze spytał mnie Artur, czy mam już jakieś wybrane słowo na ten wieczór, gdyż u Rosjan będę musiał wygłosić dłuższe kazanie niż u Niemców. Powiedziałem mu to, co już właśnie otrzymałem.

— Dobrze, tak — odparł — to słowo jest dokładnie dla ciebie, dla twej duszy jako wzmocnienie do służby. A teraz poproś Pana o słowo na ten wieczór! Nie musi ono zgadzać się koniecznie ze słowem, które Pan mi daruje, gdyż na nabożeństwo przychodzą różni ludzie.

Dał mi też parę wskazówek. Wierny Pan Bóg obdarował mnie innym słowem na to nabożeństwo i wszyscy zostali ożywieni. Tak posługiwał się Pan Bóg metodą zmęczenia poprzez braci dla mojego efektywnego rozwoju w służbie Bożej.

Za pośrednictwem starszego i doświadczonego brata Klause, dał mi Pan łaskawie inną lekcję, którą do dziś pamiętam. Po kilku miesiącach pracy w jego okręgu miałem znów udać się do Przesięku. Brakowało mi jednak 20 marek na podróż. Co robić? Myślałem o różnych sposobach wyjścia z sytuacji. Może podróż przełożyć albo powiedzieć Klausemu, że nie mam pieniędzy? A może napisać do brata Fryderyka Kowalskiego, któremu przecież bardzo ufałem, aby mi wysłał 20 marek; w domu byłbym na niedzielę. Ale nie czułem do tego żadnej zachęty. W końcu zdecydowałem się przedstawić swą sprawę bezpośrednio Klausemu. Po chwili milczenia wyciągnął z portfela 20 marek i podał mi z takimi oto ojcowskimi słowami:

— Bracie, bardzo dobrze, że mi powiedziałeś, iż nie masz pieniędzy na podróż. Cieszę się z tego. Ale jeszcze bardziej cieszylibyśmy się obaj, jeśli byś to powiedział swemu Zbawicielowi. Pomyśl, On jest nie tylko twym Odkupicielem, lecz również twym dobrym Pasterzem. Jeśli jest jakaś droga, podróż, Jego

zamiar, to zawsze są też na to pieniądze, bo On nie chce, aby Jego słudzy popadali w długi.

Potem pomodlił się ze mną i pobłogosławił mnie. Uczynił tak, jak swego czasu Elizeusz ze swym sługą, który nie miał otwartych oczu. Prorok nie czynił swemu słudze żadnych wyrzutów — mimo że był on przerażony nieprzyjaznym otoczeniem — lecz modlił się: „Panie, otwórz jego oczy, aby przejrzał!”. I on przejrzał. Od tamtej godziny aż po dzień dzisiejszy nie proszę już nikogo więcej o pieniądze. Pan stał się moim dostawcą we wszelkich sytuacjach. Miałem przywilej poznać dobrego Pasterza. Alleluja! Na wszystkie podróże i przedsięwzięcia dawał zawsze pełne pokrycie wszelkich kosztów, i to zawsze w porę, we właściwym Mu czasie.

Nie jesteśmy bezwolnymi automatami, które mają zawsze być ślepo posłuszne. Również Izaak snuł swe myśli na temat baranka, gdy znajdował się ze swym ojcem Abrahamem w drodze na górę Moria. Mądrzy i doświadczeni bracia będą to szanować. W owym czasie wielkiego zmęczenia powiedziała do mnie żona pewnego kaznodziei:

— Męża nie ma w domu, przyjedzie dopiero za 2 tygodnie. Musisz więc odwiedzić J. i tam służyć. Przychodzi tam bardzo miłe rodzeństwo. U rodziny, u której odbędzie się nabożeństwo będziesz z pewnością czuł się bardzo dobrze. Przyjmą cię tam z radością. Mają kilka córek. I wiesz, najstarsza z nich zwróciła już na ciebie uwagę. Rozumiesz chyba, co mam na myśli.

W owym czasie nie myślałem jeszcze o małżeństwie. Miałem dopiero 22 lata. W trakcie podróży odczuwałem potrzebę modlitwy. Zatrzymałem się, ukląknę obok drzewa i przedstawiłem rzecz Panu Bogu. Odebrałem słowa: „Nie wdawaj się w to!”. Z drugiej strony nie chciałem zlekceważyć tego, z pewnością życzliwego zalecenia owej siostry. Modliłem się: „Panie, jeśli nie jest Twoją wolą, abym wziął sobie teraz jakąś kobietę za żonę, to czuwać nad moimi oczyma, aby ta siostra na spotkaniu nie spoglądała na mnie w sposób znacząco osobisty, lecz tylko tak, jak każda inna”. Po przyjeździe udałem do pomieszczenia, które służyło za kaplicę i uspokoiłem się trochę. Otrzymałem wtedy pewną wizję. Zobaczyłem się w jakimś zupełnie ciemnym pokoju. W lewej ręce miałem kromkę chleba, którą jadłem. Tak bardzo mi smakowało, że wykrzyknąłem: „Taki chleb mogła upiec dla mnie tylko moja matka!”. Po tym zawołaniu rozjaśniło się całkowicie. Światło ukazało się z góry. Pierwsze moje spojrzenie padło na chleb. Był pełen pełzających, obrzydliwych robaków. Ogarnął mnie wstręt i czym prędzej odrzuciłem ten chleb. Znaczenie tego było jasne. W ciemności byłaby owa dziewczyna najlepszą dla mnie żoną, jaką tylko matka mogłaby doradzić, gdyż dla matek nawet najlepsza synowa jest niekiedy za mało dobra dla ich ukochanych synów. Jednakże oglądana w świetle Bożym byłaby obrzydliwością dla mnie. Wiedziałem już, jak mam się zachować. Wkrótce też dowiedziałem się o niewłaściwych drogach tej dziewczyny. Zakłóciłoby to moją służbę. Musiałbym się kręcić tylko wokół tej kobiety. Jakże Pan Bóg jest cudowny!

Potem powierzono mi pewne sprawy w całej miejscowości, niewielkiej wprawdzie, ale z wieloma możliwościami rozwoju. Musiałem ciągle dzielić swój czas, wybierać miejscowości, gdzie należy organizować zgromadzenia. Przy tym nie mogłem absolutnie zaniedbywać opieki nad miejscowościami powierzonymi. Przemodliłem swój tygodniowy plan podróży, potem plan dwutygodniowy i wreszcie miesięczny. Jakże często przy tym prosiłem: „Panie, uczyni mi tę łaskę, abym każdego dnia był we właściwej miejscowości!”. Bracia czuwający nad terenem zboru odwiedzali mnie wówczas od czasu do czasu. Rozdzielałem pisma, odwiedzałem w różnych wioskach rodziny i szukałem domów, w których mógłbym zainicjować nowe zgromadzenia.

Otrzymałem wówczas wiele cudownych przeżyć. Oto jedno z nich: Jechałem rowerem z Mogilna do Pakości, aby wieczorem poprowadzić nabożeństwo w pewnej wsi. Mijałem wielu ludzi. Zauważyłem

dróżnika, który w rowie zgarniał grabiami siano. Odczułem, że powinienem dać mu którąś z naszych broszurek. Przyjął bardzo chętnie. Zaprosiłem go też na nabożeństwo, jakie miało się odbyć w pewnym domu zaledwie 6 km od jego wsi. Był Polakiem i katolikiem. Ale kto przyszedł wieczorem? Właśnie Lewandowski, aczkolwiek uzbrojony w kij, zachowywał się jednak spokojnie. Następnego wieczoru zjawił się z żoną, a na trzeci wieczór przyszedł — o ile dobrze pamiętam — z trojgiem dzieci. I wszyscy zawierzili swe życie Panu Bogu. Kilka lat po wojnie napisał do mnie brat Ledermann z Polski: „Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła ci ewangelista Lewandowski. Właśnie jest u mnie. Jak dobrze, że on tutaj jest. Ma on teraz pozwolenie na głoszenie Ewangelii, na co Niemcowi by nie pozwolili. A zatem czyni on to za mnie”.

Takie były i są wspaniałe metody działania i sposoby pracy naszego wielkiego Pana. Jego Duch, który niegdyś unosił się nad wodami, prowadzi nas przez braci, a także bezpośrednio. Abraham i Izaak szli razem. Eliasz i Elizeusz szli razem. Jezus i Jego uczniowie byli razem. A św. Paweł pisze: „Marek jest mi potrzebny do pomocy”. Alleluja!